№ 10 WARSZAWA, DNIA 10 MARCA 1912 ROKU ROK II



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN.

DOKOŃCZENIE.

I teraz zaczyna się obfita jego twórczość poetycka. Pierwszy wielki jego utwór to „Nie-Boska Komedja”, wydana w Paryżu w r. 1835, bezimiennie, jak wszystkie zresztą dzieła Zygmunta Krasińskiego. Przedstawia tu poeta czasy, które kiedyś nadejść mają, przedstawia, jak lud roboczy, zniecierpliwiony wyzyskiem i uciskiem panów, powstaje przeciw nim i morduje ich bez litości i miłosierdzia. Na czele obozu ludowego staje Pankracy, mąż o żelaznej woli i wielkim rozumie, człowiek, który jasno widzi swój cel i dąży do niego wytrwale, aż wreszcie zatyka zwycięski sztandar rewolucji na gruzach starego świata.

Jako przeciwnik Pankracego, a zarazem wódz arystokracji, czyli panów, występuje w „Nie-Boskiej Komedji” hrabia Henryk. Poeta-marzyciel, a przytem chłodny samolub, żyje on tylko marami, które mu tworzy jego własna rozogniona wyobraźnia, a świata rzeczywistego nie zna i znać nie chce; nie chce wiedzieć nic o tem, że życie wkłada na niego pewne obowiązki, nie poczuwa się do nich, gardzi niemi. Odtrąca od siebie dobrą, łagodną, cichą, pobożną żonę, Marję, aż nieszczęśliwa dostaje pomieszania zmysłów i umiera przedwcześnie, błogosławiąc jedynego syna, aby był poetą na pociechę ojcu.

Nie pociecha to jednak dla hrabiego Henryka, lecz dotkliwa kara: Orcio bowiem jest istotnie poetą, ale ciało jego,

wątłe i delikatne, nie może znieść natłoku myśli i wrażeń poetyckich, i nieuleczalna ślepota dotyka 8-letniego marzyciela.

Zrozpaczony hrabia Henryk rzuca się w wir walki i—ginie w niej, taki na siebie usłyszawszy wyrok potępienia: „Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki”.

Ale niedługi jest tryumf Pankracego. On już dawno zrozumiał, że nie zdoła zmienić świata na lepsze, by „we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży”. Nie zdoła tego uczynić ani on, ani hrabia Henryk: obaj bowiem żyli tylko nienawiścią, a świat przetworzyć i ludzkość uszczęśliwić może tylko miłość, miłość bliźniego, taka, jaką nakazał nam Chrystus. On też, Zbawiciel nasz, zjawia się w końcu „Nie-Boskiej Komedji” i swym błyskawicznym wzrokiem zabija Pankracego, jakby zapowiadając lepsze jutro dla nędzarzy.

Widzimy, jak piękną, wysoce moralną myśl przeprowadza Krasiński w tym wielkim utworze, obejmującym wszystkie narody i ludy; widzimy też, jak dobrze zrozumiał poeta życie polityczne Europy: z tego, co on tam przedstawił, wiele rzeczy daje się zastosować do późniejszych, a nawet dzisiejszych czasów. (Dodać trzeba, że kiedy Krasiński bawił po raz pierwszy zagranicą, ludy właśnie burzyć się zaczynały, a w pół roku po jego przybyciu do Genewy wybuchła w Paryżu rewolucja).

Drugiem z kolei wielkiem dziełem Krasińskiego jest wydany w r. 1836 „Irydjon”. Przedstawia tu poeta Rzym w trzecim wieku po Chrystusie, za czasów zniewieściałego cesarza Heljogabala, i Greka Irydjona, który, mszcząc się na Rzymie za krzywdy i poniżenie swej ojczyzny podbitej, knuje spisek przeciwko „wiecznemu miastu”, wciągając w niego i Greków i niewolników, i barbarzyńców - Germanów, i chrześcijan, i samego nawet cesarza, wciąż obawiającego się buntu i skrytobójstwa. Ale w ostatniej chwili odmówili mu pomocy chrześcijanie, w myśl zasad swego Boskiego Nauczyciela, który nie wzywał zemsty na swych nieprzyjaciół, ale modlił się za nich na krzyżu — i Irydjon ulega w walce.

A że grzeszył nienawiścią i mściwością, zostaje skazany wyrokiem Niebieskim na powtórną próbę miłości „na ziemi mogił i krzyżów”, t. j. w Polsce. O Polsce też myślał poeta, mówiąc o Grecji, ujarzmionej przez Rzymian: „Irydjon” jest pierwszym jego wielkim utworem, w którym uczucie narodowe przemówiło z całą potęgą.

Drugi okres życia i twórczości rozpoczyna poemat filozoficzny p. t. „Przedświt” (1843). Tutaj, jak również w „Psalmach przyszłości” (1845 i 1848), jak i w późniejszych utworach: „Dzień Dzisiejszy”, „Ostatni”, „Resurrecturis” (t. jest tym, co mają zmartwychwstać), „Niedokończony poemat” czyli „Nie-Boskiej Komedji” część I, występuje Krasiński, jako wieszcz-nauczyciel, wódz duchowy narodu, wskazujący mu drogi postępowania.

W „Przedświcie” rozwija on myśl, że Polska ma przed sobą wielkie posłannictwo, od Boga jej poruczone: ma głosić wobec ludów europejskich naukę Chrystusa, ma głosić miłość prawdziwą i gorącą między ludźmi i między narodami. A skoro zadanie to spełni, wtedy nastąpi dzień odrodzenia, dzień powszechnej dla wszystkich szczęśliwości. Słowem, Polska ma to uczynić dla ludzkości, czego przed wiekami dokonał Chrystus, umierając na krzyżu za grzeszników, by po trzech dniach zmartwychwstać; w tem też znaczeniu nazywa Krasiński Polskę Chrystusem narodów.

Ale, aby spełnić to wysokie przeznacze-

nie, trzeba mieć wielką moc i doskonałość ducha, trzeba mieć „dobrą wolę” do spełnienia. To też w ostatnim z „Psalmów” błaga Krasiński Stwórcy o tę „dobrą wolę”, bez której niczego na świecie nie można dokonać.

Zmarł autor „Przedświtu” dn. 23 lutego 1859 roku w tym samym Paryżu, w którym 47 lat i 4 dni temu się urodził. Pozostanie po nim wiekopomna pamięć: pamięć poety-myśliciela, poety, który w utworach swoich pozostawił tyle pięknych i wzniosłych myśli i nauk moralnych, iż starczy ich na długie jeszcze lata, na wiele pokoleń, które przyjść mają.

Henryk Galle.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Opracował także plan urządzenia stacji leczniczych powietrznych, po nad obłokami, gdzie powietrze idealnie czyste, nasycane sztucznie ozonem i innemi gazami, będzie mogło, w nader krótkim czasie, uzdrawiać z wielu chorób.

Ralf Pitcher znów, pracując nad zagadnieniami siły elektrycznej bez drutu, miał już na ukończeniu wielki wynalazek: przenoszenie siły tej, jako motoru, na odległość. Rozstrzygnięcie tej kwestji sprowadziłoby zupełny przewrót w przemyśle, rzemiosłach i umiejętnościach: siła nieujarzmionych dotąd strumieni, huraganu i fal morskich zostałaby zużytkowaną na korzyść człowieka! Akumulatory aeroplanów i statków podwodnych byłyby zasilanemi z odległości, bez straty czasu.

Pomimo całego podziwu dla tych genjalnych wynalazków, Jerzy nie mógł się oprzeć myśli, że gdyby wcześniej nad tem pracować zaczęto, komunikacja międzyplanetarna byłaby już dziś faktem spełnionym!

Będąc z natury szczerym i otwartym, wypowiedział głośno swe przypuszczenia, a Ralf odrzekł:

— Drogi mój Jerzy — pogląd twój jest trochę dziecinnym! Wiedza ludzka jest całością złożoną z wielu części, łączących się z sobą i dopełniających wzajemnie. Jak górnik w kopalni za odkrytą żyłą kruszcu, tak i mędrzec postępuje za nową prawdą— i wierz mi, nie my kierujemy wynalazkiem, lecz on nami.

— Możesz pan jednak być pewnym, że Mars nie ujdzie synom Ziemi i będzie zbadanym — dodał kapitan!

Rozmowa przeszła potem na kwestję niewidzialności, a kapitan wyznał, iż w młodości pytanie: jakim sposobem możnaby stać się niewidzialnym, zajmowało go silnie.

— Zmora niewidzialności — mówił — na-

wiedzała od wieków umysły ludzkie i to jest dla mnie dowodem możliwości jej urzeczywistnienia, gdyż każde marzenie, które możemy sobie wyobrazić dokładnie, prędzej czy później musi się spełnić. Umysł nasz nie mógłby sobie wyobrażać rzeczy, którąby nie mogła istnieć. Takie jest moje przekonanie!

— Tak jest — dodał Ralf — od początku dziejów człowieka, podania indyjskie, sanskryckie, egipskie mówią nam o bóstwach i cudotwórcach, którzy podług swej woli ukazują się lub znikają. Grek Herodot opowiada nam o pierścieniu Gygesa, w baśniach arabskich i perskich pełno mamy tych przygód. Cud ten dotąd nie przestał zajmować poetów i powieściopisarzy!

— Czy i w tem doszedłeś pan do jakiego praktycznego wyniku? — spytał Jerzy z uśmiechem niedowierzania.

— Nie, lecz jestem pewnym, że to jest możliwem i zauważyłem wiele faktów, popierających tę hypotezę, której wydarzenie dzisiejsze dodaje nowej mocy. I rzeczywiście, jeśli przyroda wydaje twory niewidzialne, nie mamy żadnych danych na to, że tajemnica ta pozostanie na zawsze niezgłębioną. Nie mówiąc o cudach indyjskich fakirów, które sam widziałem, w niektórych chorobach nerwowych, sprowadzających wygórowaną drażliwość i nadczułość, chorzy nieraz czuli dotknięcie, a często uderzenia, zadawane im przez istoty, dające się wyczuwać — lecz niewidzialne. Któż nam dowiedzie, że to co nazywamy jasnowidzeniem, nie jest rzeczywistością, tylko o wiele subtelniejszą?

— Może przejdziemy do laboratorjum — rzekł nagle Boleński — jest tu szalony upał, a tam płynne powietrze ochłodzi nas nieco... Jestem pewnym, że się zanosi na straszną burzę: nerwy moje drżą jak struny zbyt naciągnięte!

— I owszem — rzekł kapitan — od kiedy słońce zaszło i ja się czuję niedobrze; może mi tam będzie lepiej.

W tej chwili olbrzymia, szeroka błyskawica zajaśniała, oświecając skłębione, czarne chmurzyska, o brzegach postrzępionych, złocistych — mające pozór całunów pogrzebowych. Krajobraz widzialny przez chwilę na tle ognistem, znów znikł w ciemnościach. Powietrze było ciężkie, duszne od woni kwiatów, bez najlżejszego wiatru. Cała przyroda jakby zamarła w oczekiwaniu i ciszy, przerywanej tylko czasami płaczliwem wyciem szakali, lub głosami innych drapieżców nocnych.

— Tak, wróćmy do laboratorjum — rzekł Ralf — doświadczam dziwnego ściśnienia serca... Gdybym był przesądnym, myślałbym, że grozi mi jakieś nieszczęście.

— Nie śmiejcie się panowie ze mnie — mruknął Boleński — ale mam wrażenie, że to wstrętne straszydło krąży wciąż przy nas!

Nikt się jednak nie śmiał, gdyż wszyscy odczuwali to samo, w mniejszym lub większym stopniu.

— Możebyśmy pojechali na spotkanie miss Alberty?—zapytał Jerzy, oddychając z trudnością w dusznem powietrzu.

— A to po co? — rzekł Ralf — automobil już wysłany na stację, droga nie jest niebezpieczną ani długą i jeśli tylko piorun nie uderzy...

Nie dokończył, przejęty jakąś nieokreśloną obawą. Po kilku minutach weszli do laboratorjum, gdzie wszystko zostało tak, jak było w chwili ucieczki nieznanego straszydła.

Inżynier zapalił lampy elektryczne i puścił w ruch wentylator.

(D. c. n.).

(Tłom. z fran. *K. W.*).



Opowiadanie z życia pająków.

Dokończenie.

— Nie tylko wodne pająki, ale i lądowe umieją sobie budować pałace z pajęczyny. Są wśród nich gatunki, które przędzy używają nie na sieci, ale wyłącznie na mieszkania. Kopią sobie mianowicie nory w ziemi i wyściełają ich ściany pajęczyną. Niektóre dorabiają nawet drzwi do takiej nory, w kształcie krążka ulepionego z ziemi, pomieszanej z przędzą. Krążek ten doskonale przystaje do otworu, a z zewnątrz jest chropawy i nierówny, zupełnie tak samo, jak powierzchnia gruntu. Wskutek tego najwprawniejsze nawet oko zwykle nie może się domyśleć obecności nory w tem miejscu. Od wewnątrz pokrywa krążek warstwa pajęczyny. Co ciekawsze, drzwiczki te posiadają nawet zawiasy, bardzo misternie sporządzone z mocno splecionych nitek pajęczych. Pająk siedzi sobie w norze z ziemi, zupełnie bezpieczny, że go tak łatwo nikt nie wyśledzi. Jeżeli zaś jaki napastnik domyśli się obecności nory i zechce się do niej dostać, to i to mu nie przyjdzie bez trudu: pająk chwyta łapkami pajęczynę na wewnętrznej stronie drzwi i przytrzymuje je z całej siły, częstokroć z dobrym skutkiem.

— Mój kochany Franku — prosił Kazio — pokaż mi koniecznie takiego pająka! Musimy obejrzeć jego mieszkanie.

— Niestety, jest to niemożliwe: u nas niema takich pająków. Znajdują się one w krajach ciepłych. Między innemi takie nory z drzwiczkami sporządza sobie południowo-europejski gatunek, zwany zdunkiem, a także największy z pająków, amerykański ptasznik, tak krwiożerczy i silny, że poluje nawet na jaszczurki oraz małe ptaszki.

V. *Własne spostrzeżenia Kazia nad pająkami. Nowy przyjaciel.*

Zanim lato się skończyło, Kazio oddawna był już w doskonałych stosunkach z pająkami: wszelkie dawne obawy znikły gdzieś bez śladu.

Nauka szła również doskonale i egzamin wypadł bez zarzutu. Ale rodzice postanowili, że Kazio na ten rok pozostanie jeszcze w domu i dopiero od następnych wakacji zacznie chodzić do szkoły.

Po wyjeździe Franka, Kazio nie mniej gorliwie zajmował się podglądaniem różnych stworzeń, a zwłaszcza pająków: zamiłowanie, wzbudzone przez ciotecznego

brata, nie ustąpiło z jego wyjazdem, a dawna niechęć ,do pająków zamieniła się na gorącą chęć poznania ich obyczajów.

Kazio występował teraz zawsze w ich obronie, ku wielkiej rozpaczy służącej, nie dawał niszczyć pajęczyn po kątach, a tem mniej zabijać samych pająków.

— Dopiero będzie porządek w domu! wzdychała Wincentowa.

Pewnego dnia Kazio dopatrzył pajęczynę krzyżaka, zasnutą w otworze bocznej



ściany na werandzie. Odtąd spędził nie jedną chwilę na obserwowaniu zachowania się pająka, no i doczekał się ciekawej rzeczy.

Raz silny wicher poszarpał dolną część siatki i kołysał nią mocno na wszystkie strony. Pająk spuścił się do uszkodzonego miejsca, obejrzał je uważnie, ale jakoś nie zabierał się do naprawy: widocznie nie dowierzał pogodzie i obawiał się, że praca będzie daremną.

Powziął jednak inny projekt: zaczął snuć nitkę i spuścił się po niej aż do samej ziemi; tam wyszukał maleńkie drewienko, oplątał je nicią i wraz z niem zaczął piąć się do siatki.

Praca to była ciężka i pająk porządnie się namęczył, zanim stanął u celu. Raz drewienko urwało mu się nawet i upadło. Nie zraził się tem jednak i jeszcze raz odbył wyprawę na dół. Ale też dopiął swego i wkrótce siatka obciążona drewienkiem kołysała się łagodnie, ale nie była już tak szarpana.

Na drugi dzień rano sam Kazio zrobił niechcący krzywdę pająkowi: rzucił piłkę tak jakoś niezręcznie, że poleciała ona przez otwór werandy tuż pod siatką i strąciła drewienko.

Kazio bardzo się tem zmartwił, ale pająk i teraz wziął się tak samo gorliwie do pracy: wydźwignął z ziemi drewienko i zawiesił je z powrotem. Wisiało tam ono przez parę dni, aż dopiero gdy wróciła pogoda słoneczna i cicha, pająk sam przerwał nić, podtrzymującą drewienko i naprawił siatkę: czuł widać, że już będzie ładnie i że teraz warto naprawić ją porządnie.

Ciepła, jesienna pogoda przyniosła ze sobą babie lato, a wraz z niem nowy przedmiot do obserwacji dla Kazia.

Tysiące cieniutkich nitek fruwało w przejrzystem powietrzu, połyskując w słońcu srebrzystym blaskiem.

Kazio zaraz zabrał się do poszukiwań: łapał nitki witką, przyciągał je do siebie i starał się znaleźć pajączka na drugim końcu. Ale nie było to takie łatwe, jak by się mogło wydawać. Pajączek nie ufał widocznie Kaziowi i zawsze zdążył umknąć, zanim on dostał koniec nici. Chłopak zaczynał tracić cierpliwość.

— Może się Franek omylił — myślał, może to są poprostu niepotrzebne, oderwane kawałki pajęczyny.

Przekonał się jednak, że nie: po długich, bezowocnych wysiłkach udało mu się

wreszcie schwytać nitkę, częściowo zwiniętą już w kłębek i w tej właśnie zwiniętej części siedział malutki pająk, który wprawdzie wysnuł szybko nitkę i zaczął po niej umykać na ziemię, nie tak jednak prędko, aby Kazio nie zdążył go złapać.

Malutki to był, ledwie dostrzegalny, szary pajączek. Potrzymawszy go chwilę na ręku, chłopiec posadził go na przydrożnym oście i tu znów był świadkiem bardzo ciekawego zjawiska.

Pajączek zaczął snuć z siebie nitkę, przytwierdził jej koniec do chwastu, a potem snuł dalej. Nić wydłużała się coraz bardziej, a łagodny wietrzyk kołysał nią na wszystkie strony, aż dopóki wreszcie, gdy stała się dość długą, nie uniósł jej wraz z pajączkiem w świat daleki.

— Leć—że sobie z Bogiem! Pomyślał Kazio.

Skończyła się jesień i zaczęła się zima. W ogrodzie i na polu pająki pochowały się do kryjówek i zasnęły twardo, albo też wyginęły, zaskoczone przez mrozy lub ulewę jesienną. Ale w pokoju ruderaki polowały po kątach, jak dawniej.

Kazio postanowił oswoić jednego z nich, jak to niegdyś zrobił król duński, a później Franek.

Zaczął więc łapać muchy, o ile kręciły się one jeszcze po pokoju i porzucać na siatkę. I rzeczywiście w niedługim czasie oswoił pająka tak dalece, że ten nie bał się Kazia wcale i nieraz nawet sam pierwszy zjawiał się po swoją porcję.

Kazio napisał zaraz do Franka, donosząc mu o wszystkich swoich spostrzeżeniach nad pająkami, oraz chwaląc się, że i jemu udało się oswoić jednego z nich.

„Teraz nie tylko ty, ale i ja—pisał—mam swojego przyjaciela”.

B. Dyakowski.

PRZYGODY ALMANZORA.

Ciąg dalszy.

Obok niego stał służący, który miał przedstawiać niewolnika i dlatego trzymał w rękach grubą książkę. Był to słownik, a gdy starcowi zabrakło jakiego słowa, odnajdywał je w słowniku i prowadził rozmowę dalej.

Niewolnicy przynosili w tureckich małych naczyniach sorbety i inne chłodzące napoje, a gdy Almanzor chciał bardzo swego gospodarza uradować, wtedy mówił, że wszystko u niego jest tak, jak było w domu jego rodziców na Wschodzie.

Chłopiec bardzo ładnie i płynnie czytał po persku, co było z wielką korzyścią dla uczonego, który kazał gościowi swemu czytać na głos manuskrypty perskie, a starzec przysłuchując się przyswajał sobie właściwą, dobrą wymowę.

Dnia odwiedzin u starca były dniami

radości dla biednego Almanzora, gdyż nigdy nie wyszedł on z domu swego starego przyjaciela z pustemi rękami, często nawet dostawał cenne podarki w formie pieniędzy, części ubrania, bielizny, lub innych przedmiotów niezbędnych, a których mu skąpy doktór sprawić nie chciał.



Tak przeżył chłopiec kilka lat w stolicy Franków, a tęsknota jego za krajem rodzinnym nie zmniejszała się, przeciwnie, powiększała się z czasem. Gdy doszedł piętnastego roku życia, zaszedł wypadek, który miał duży wpływ na dalsze jego losy. Mianowicie Frankowie ogłosili swym królem i władcą głównego wodza swych wojsk, tego, z którym tak często w Egipcie rozmawiał Almanzor. Chłopiec dowiedział się o tem z wielkich uroczystości, które się odbywały w stolicy, nie przypuszczał jednak, aby nowoobranym cesarzem był dobrze mu znany główny wódz wojsk.

Pewnego dnia, gdy przechodził przez jeden z licznych mostów, zbudowanych na rzece, która przepływa miasto, zauważył człowieka w szarym żołnierskim surducie. Człowiek ten stał oparty o balu-

stradę mostu i patrzył w mętne wody zamyślonym wzrokiem. Rysy twarzy jego wydały się Almanzorowi znajome, nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie je widział. Natężając pamięć z różnych epok swojego życia, przypomniał sobie wreszcie długie chwile spędzone w obozie Franków i nagle, jakby mu kto zasłonę z mózgu zdjął, zobaczył, że stoi przed nim wódz Franków, z którym tylokrotnie podczas swojej niewoli rozmawiał, a który był zawsze tak dobrym i łagodnym dla niego.

Właściwego jego nazwiska nie znał, lecz pomimo tego, przywołując całą swą odwagę, poszedł do wodza, zapatrzonego w dal i pozdrowił go wschodnim ukłonem, nadając mu imię słyszane często od żołnierzy:

— Salem aleikum, Petit Caporal! *)

Człowiek, stojący na moście, odwrócił się gwałtownie, przyjrzał się badawczo chłopcu, wreszcie zawołał:

— Nieba, czyż to możliwe! Almanzorze, ty tutaj! Co porabia twój ojciec, co się dzieje w Egipcie? Po co przyjechałeś tu do nas?

Wtedy biedny chłopiec nie mógł się powstrzymać, zaczął gorzko płakać i ze łkaniem rzekł:

— Więc ty nic nie wiesz, o panie, co twoi źli współrodacy ze mną zrobili? Ty nie wiesz, że ja od wielu lat ojczyzny swojej nie widziałem?!

— Nie chcę wierzyć w to!—odparł człowiek w szarem ubraniu, a czoło jego groźnie się ściągnęło;—nie chcę uwierzyć w to, aby cię miano aż tutaj przywlec!

— A jednak tak było!—skarżył się dalej Almanzor;—w dniu, w którym twoi żołnierze wsiedli na okręty, widziałem moją ojczyznę po raz ostatni; wzięli mnie z sobą na okręt i tu przywieźli...

Pewien kapitan, wzruszony moją niedolą, płaci za moje utrzymanie doktorowi, który mnie bije i u którego umieram prawie z głodu. Ale jakie to szczęście, że spotkałem, ciebie, mały kapralu; ty mi pomożesz—dodał głosem pełnym zaufania.

Człowiek, z którym rozmawiał, uśmiechnął się i zapytał, w jaki sposób może mu dopomódz.

— Widzisz—ciągnął dalej Almanzor—to byłoby niesłuszne, gdybym ja czegoś od ciebie wymagał. Byłeś dla mnie ongi bardzo dobry, ale ja wiem, że ty też jesteś ubogim człowiekiem; wtedy nawet, gdy byłeś naczelnym wodzem, nie ubierałeś się nigdy tak strojnie i bogato, jak inni. Teraz też, sądząc z twojej kapoty i kapelusza, nie musisz być w świetnych warunkach materjalnych. W ostatnich czasach Frankowie obrali sobie nowego sułtana; prawdopodobnie musisz znać ludzi, którzy blizko niego stoją, może przywódcę jego janczarów, lub kapitana—baszę?

— Tak, znam oczywiście; ale cóż dalej?

— Mógłbyś ich poprosić, aby za mną słówko do sułtana przemówili; możeby mnie wtedy wypuścił z niewoli; poza tem potrzebowałbym trochę pieniędzy na podróż przez morze, ale przedewszystkiem musisz mi przyrzec, że nic o tem nie powiesz ani doktorowi, ani arabskiemu profesorowi!

— Któż to jest ten arabski profesor?—spytał wódz.

— Ah, to jest szczególny człowiek! Ale o nim opowiem ci innym razem. Gdyby się ci dwaj dowiedzieli o mojej prośbie, jaką do ciebie zanoszę, to jużbym się nigdy z ziemi Franków nie wydostał! Ale, czy będziesz chciał za mną się wstawić—odpowiedz mi zupełnie szczerze?

---

*) „Mały Kapral" przydomek nadany przez żołnierzy Napoleonowi.

— Chodź ze mną — odpowiedział człowiek—może zaraz będę mógł ci być użytecznym.

— Teraz! — zawołał chłopiec ze strachem—teraz za nic nie pójdę z tobą! To bym dopiero dostał od doktora! I tak muszę się już bardzo spieszyć, żeby się nie spóźnić.

— Co tam niesiesz w tym koszu?—zapytał wódz, zatrzymując go za ramię.

Almanzor zaczerwienił się po same włosy i początkowo nie chciał otworzyć koszyka, wreszcie podniósł wieko i powiedział:

— Spojrzyj, mały kapralu, jakie ja muszę tutaj posługi spełniać! Jak najniższy z niewolników mojego ojca! Doktór jest strasznie skąpym człowiekiem i codziennie posyła mnie na targ oddalony o godzinę drogi po ryby i jarzyny. Muszę się tam spotykać z temi brudnemi, ordynarnemi przekupkami, gdyż tam jest o parę groszy taniej, niż w dzielnicy, w której mieszkamy. Spojrzyj, panie, to dla tego marnego śledzia, dla tego kawałeczka masła i dla tej garstki sałaty muszę codzień dwie godziny iść. Oh, gdyby to mój ojciec wiedział!

D. c. n.

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Porzuciwszy krainę puszcz i borów, zwraca się więcej na zachód. W górnym swym biegu Narew jest bardzo bagnistą i powolną... Niziną szeroką, obfitującą w łąki, płyną jej fale, tworząc mnóstwo odnóg i jeziorek błotnistych, zarosłych trzciną, sitowiem, miętą wodną i zielskiem.

Wkroczywszy w granice Królestwa Polskiego, po przyjęciu z prawej strony granicznej rzeczki Biebrzy, zmienia Narew szybko swój charakter. Spadek ma znacznie większy, przyjmuje z prawej strony liczne rzeki i zbliża się do Buga.

Pomiędzy wybrzeżami jej zachodzi znaczna różnica. Prawe jest spadkiem wyżyny o bardzo stromych zboczach, porozrywanych krótkiemi, przykremi, wymytemi przez wodę wąwozami. Mają one kierunek bądź prostopadły, bądź ukośny do ogólnego kierunku zbocza, występują to gęściej, to rzadziej; niekiedy zaś powtarzają się w dość równych odstępach, tak iż patrząc na nie z doliny rzeki, wydaje się, iż mamy przed sobą szereg półkolistych redut, połączonych ze sobą u górnych początków wąwozów.

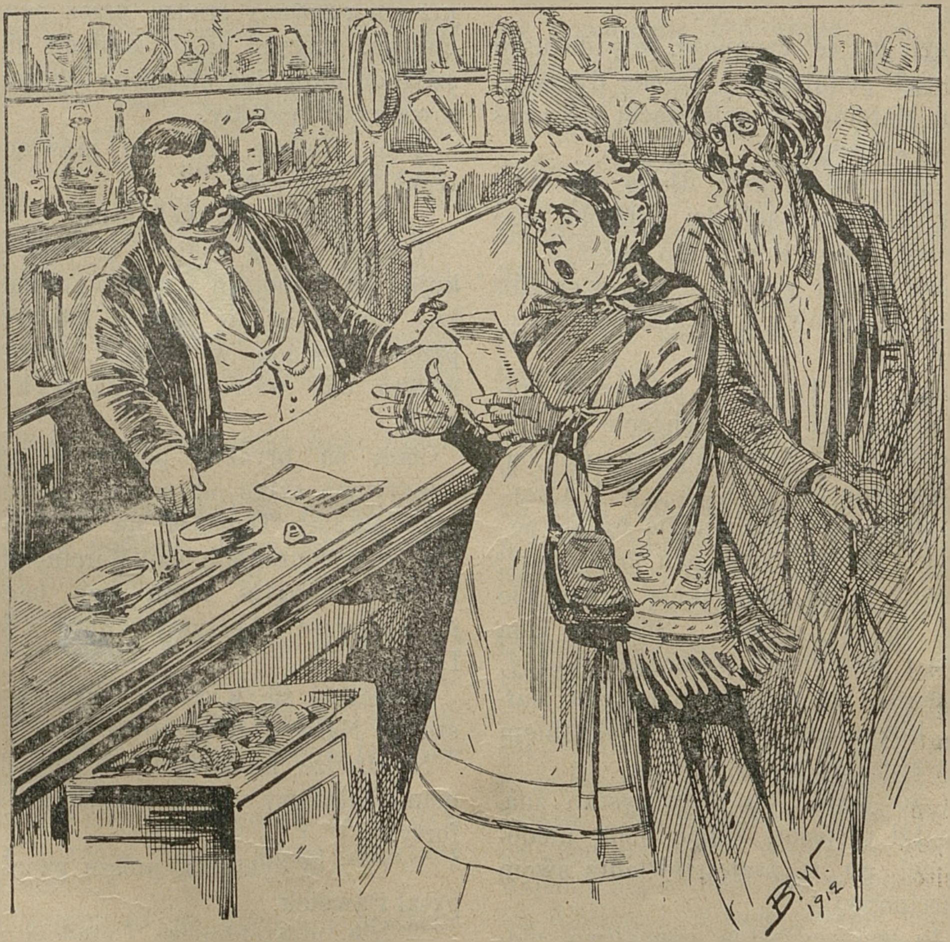
Czasem wąwozy te rozramieniają się nożycowato, bądź w pobliżu swych górnych początków, bądź dopiero u wylotu; zamknięta między niemi część wyżyny tworzy tym sposobem ostry przylądek czasami znów dwa równoległe wąwozy ciągną się tak blizko siebie, że zamknięta między niemi część wyżyny stanowi wązki wał, mniej więcej prostopadły do doliny głównej.

Rzeka czasem obmywa stopy zboczy,

czasem pozostawia między sobą a niemi pas łąkowy, miejscami bagnisty, miejscami pokryty szmatem lotnego piasku — śladem wylewu. Zbocza i wąwozy są częścią nagie, częścią pokryte krzakami brzeziny, osiny, sośniny, jałowca, tarniny i berberysu. Dawniej, przed laty, na zboczach tych, w okolicach Pułtuska, miały być sady, a nawet winnice...

Cudny jest widok, gdy stojąc na wzgórzu, patrzymy na wijące się u stóp naszych, wśród szmaragdu łąk, ciemnoszafirowe wody Narwi, lub też gdy chmury ciemne zaciągną niebo swą oponą, a burza wybuchnie wokoło. Wtedy wody Narwi zmieniają barwę: z ciemno szafirowych przybierają czarną barwę aksamitu... Cudnym jest wtedy i pełnym grozy jej widok!

Umilkł profesor, a opowieści jego z nadzwyczajnem zajęciem słuchał i Pawełek i Marcinowa.



Już Pawełek miał o coś zagadnąć profesora, gdy drzwi rozwarły się i przez powstały w ten sposób otwór wsunął głowę Tomasz, pytając:

— Proszę pana profesora, czy jedziemy?... Konie już zaprzęgnięte.

— Jedziemy... jedziemy — odrzekł profesor, a zwracając się do pani Marcinowej, dodał:

— Niechno Marcinowa załatwi tu wszyst-

kie rachunki, a my z Pawełkiem zapakujemy rzeczy i ułożymy je na bryczce.

Z dumą potoczyła się pani Marcinowa do sklepu, by z właścicielem handlu win i delikatesów, oraz pokoi gościnnych załatwić rachunek, a profesor z Pawełkiem wynosili rzeczy, pakowali je i układali na bryczce.

Kończyli już tę czynność, gdy do uszu ich dobiegł podniesiony trochę dyszkancik pani Marcinowej, spierającej się o coś zajadle z kupcem.

Spór ten trwał dość długo; wreszcie profesor uznał, że zachodzi potrzeba jego interwencji, ażeby kres temu położyć.

Zawrócił więc i wszedł do sali w chwili, gdy pani Marcinowa z zaciekłością krzyczała:

— Co to jest? To rozbój na równej drodze! Obedrzeć ze skóry chcecie spokojnych podróżnych... Za nocleg po rublu od osoby! Za jedzenie tyle, że i w Warszawie pierwszorzędna restauracja by się powstydziła. Połowę będzie pan miał dosyć!

Zdumiony tą jej elokwencją kupiec, nie wiedział, co ma odrzec... Stał za ladą sklepową i szeroko wytrzeszczonemi oczyma przyglądał się rozindyczonej pani Marcinowej, kiwaniem głowy i machaniem ręką zaprzeczając jej słowom.

— Co to jest?.. Co to wszystko znaczy?—spytał profesor, stając obok niedostrzegającej go w zacietrzewieniu swem pani Marcinowej.

— A to jest—odrzekła popędliwa niewiasta, zwracając się nagle do niego— że ten pan, (tu wskazała ręką na kupca) myśląc, że ma do czynienia z miljonerami, wszystko w dwójnasób nam liczy... Że też się pan Boga nie boi!

— Zaraz proszę się uspokoić, Marcinowo, i iść do bryczki, by tam Pawełek wszystko w porządku zapakował. Ja już tę sprawę sam załatwię.

Marcinowa rzuciła piorunujące spojrzenie na zmaltretowanego przez siebie kupca, i wyszła ostentacyjnie z sali, profesor zaś, wziąwszy do ręki rachunek, począł go przeglądać.

Ceny rzeczywiście były nieco wygórowane. Spokojnym tonem zaproponował kupcowi pewne ustępstwo, a gdy ten, i tak już zmordowany srodze przez panią Marcinową, przystał na to, zapłacił mu i wyszedł do oczekujących już na bryczce współtowarzyszy podróży.

Zajął miejsce, nic nie mówiąc, tylko rzekł do Tomasza:

— Ruszaj drogą do mostu!

Tomasz zaciął konie i bryczka podskakując po wybojach i nierównościach bruku, potoczyła się ulicą, odprowadzana przez gromadę wyrostków żydowskich, głośno coś wślad za nią wykrzykujących.

Cisza na bryczce panowała głęboka, Przerywana tylko od czasu do czasu wykrzyknikami Tomasza na konie, lub też cichem mruczeniem pani Marcinowej, ciągnącej w dalszym ciągu swe narzekania na chciwość oberżysty kupca z Nowego-Dworu.

Potoczyła się wreszcie bryczka do mostu na Narwi — i przebyła go.

Na drodze ukazywać się poczęły gromady żołnierzy, a po bokach widać było forty.

— Czy to cytadela, proszę pana? — zapytał Pawełek.

— Nie, mój chłopcze. Cytadelą nazywa się forteca, położona pod Warszawą, i służąca za więzienie dla przestępców politycznych. Tu zaś znajduje się forteca Modlin, urzędownie nazwana Nowogeorgiewskiem. Punkt ten już cesarz Napoleon, za pierwszej bytności swej w Polsce, i po bitwie pod Pułtuskiem, uzna za nadzwyczaj ważny pod względem strategicznym, i w r. 1806 polecił budować tu fortecę. Przystąpiono wnet do wyko-

nania jego poleceń, i do roku 1809, czyli do najścia Austrjaków na Księstwo Warszawskie, stanęła forteca o tyle mocna, że książę Józef mógł z niej i z Serocka zrobić punkty oparcia w walce swej z nieprzyjacielem.

Rok 1812 i zaszła następnie straszna klęska armji Napoleońskiej, położyły kres uzbrojeniom fortecy. Za rządów rosyjskich nie wiele ono naprzód postąpiło, tak że wojna 1831 roku zastała Modlin bardzo słabo uzbrojonym i ufortyfikowanym. Dopiero po skończeniu tej wojny rząd rosyjski zabrał się energicznie do przeróbek i doprowadził fortecę do tego stanu, że uważaną jest za pierwszorzędną.

Słowa profesora przerwał nagle Tomasz, zatrzymując konie na skrzyżowaniu dróg i zapytując:

— A którą to drogą teraz każą jechać pan prefesor?

Przez chwilę namyślał się profesor, wyjął nawet z portfelu mapę, jakby wytykając na niej szlak drogi, jaką przebyć mieli, wreszcie rzekł:

— Skieruj na lewo, i jedź prosto przed siebie. Miniemy Zakroczym i trzymając się brzegu Wisły, podążymy do Czerwińska. Chciałbym bardzo, byśmy tam stanęli przed nocą.

Tomasz skinął tylko głową na tę dyspozycję i zaciął konie, które pomknęły szybko naprzód.

Pani Marcinowa aż pisnęła z przerażenia, a Pawełek wydał okrzyk radości z powodu szybkiej jazdy.

Mknęli tak czas pewien, aż wreszcie siły i ogień rumaków wyczerpywać się poczęły, i wróciły one powoli do zwykłego swego truchciku.

Błysnęły im wkrótce wieżyce zakroczymskiego kościoła i ukazały się rozrzucone na wzgórzu domy tego miasta.

Wjechali w główną jego ulicę i nie zatrzymując się nawet, przejechali przez nią, dążąc do rynku.

Miasteczko samo, dość brudne, o ludności przeważnie żydowskiej, nie przedstawiało nic ciekawego. Tylko w rynku zwrócił ich uwagę kościół.

Tomasz zatrzymał konie, a profesor z Pawełkiem wszedł do wnętrza kościoła, o nizkich, okrągłych wieżach. Wszystkie cechy architektoniczne znamionowały starożytne jego pochodzenie.

We wnętrzu kościoła wskazał profesor Pawełkowi parę ołtarzy o bardzo dawnej budowie.

— Kościołek ten — rzekł tonem objaśnienia — pamięta niejedną ważną chwilę w życiu narodu. Wzniesiony w XIV wieku przez jednego z książąt mazowieckich, przetrwał niejedną burzę i był świadkiem rozkwitu miasteczka, oraz jego upadku.

— To Zakroczym nie zawsze był takiem małem, brudnem miasteczkiem? — zapytał Pawełek.

— Chłopcze kochany — odrzekł profesor — Zakroczym niegdyś, przed laty, był miastem pięknem i kwitnącem, siedzibą książąt. Starożytnością swoją przewyższa on znacznie nawet Warszawę, gdyż dzieje wspominają o niem już w epoce Bolesława Śmiałego. Z następstwem czasu należało do dzielnicy książąt mazowieckich na Płocku, którzy z upodobaniem w niem przebywali, stanowiło też stolicę oddzielnej ziemi w księstwie Mazowieckiem.

D. c. n.

Muzykalne gołębie. Chińczycy o tyle lubią muzykę, że nawet gołębie domowe zmuszają do grania na instrumentach dętych i osiągają to w sposób bardzo prosty. Przymocowują do ogonów gołębi rodzaj organków, z których wiatr, wpadając w czasie lotu pta-



ków, wydaje przeciągłe i melodyjne dźwięki. Te nadzwyczaj różnorodne co do formy instrumenty dęte, wykonywane są z bambusu, którego kilka rurek łączą razem, co wzmacnia i urozmaica muzykę powietrzną. Chińczycy zapewniają, że ptaki drapieżne nie odważają się napadać na gołębie-artystów.

Drobiazgi.

Wiadomo, że Hiszpanie całą swoją wielkość i honor zakładają na starożytności rodu. Jeden z nich, będąc w towarzystwie, rzekł:

— Mój ród tak jest dawnym, że ja dotychczas płacę procent od kapitału, który moi przodkowie pożyczyli od trzech królów, idących do Betleem.

* * *

We Francji utworzyła się liga, członkowie której poprzysięgli nie pożyczać nikomu swoich książek.

Rząd Nowej-Zelandji udzielił emeryturę wszystkim wdowom, obarczonym dziećmi.

* * *

Jeden dzień wojny Włoch z Turcją kosztuje 10.000.000 rb.

* * *

— Kazałem dać sobie jeden kotlet wołowy, a oni przynieśli mi dwa cielęce...

— No, widzisz, wołowiny nie mieli, a ponieważ dwa cielęta, znaczą tyle, co jeden wół, więc ci dali dwa kotlety cielęce...

KRONICZKA.

△ W Dumie państwowej uchwalono, ażeby nowo tworząca się gubernja Chełmska pozostała w granicach Królestwa Polskiego, lecz ażeby zależną była od ministra spraw wewnętrznych.

△ Komisja budżetowa sejmu pruskiego projektuje użyć na germanizację kresów polskich znów parę miljonów marek.

△ Włosi zbombardowali Bejrut, w Syrji, i zatopili w porcie dwie kanonierki tureckie. W parlamencie włoskim urzędownie ogłoszono przyłączenie Trypolisu do Włoch.

△ W Anglji wybuchnął wielki strejk górniczy. Zawiesiło pracę około 1,300,000 pracowników.

△ Połączono telegrafem bez drutu Londyn z Port-Saidem w Egipcie.

△ W Krakowie uchwalono umieścić dla uczczenia Zygmunta Krasińskiego tablicę pamiątkową na Wawelu.

△ W Warszawie, w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych otwarto wystawę monumentalnego dzieła Wacława Szymanowskiego „Pochód na Wawel", a w salach Ratusza wystawę p. n. „Krajobraz Polski".

△ Uroczystości na cześć Zygmunta Krasińskiego odbyły się w Moskwie, Kijowie i Berlinie.

△ Zmarł Wilhelm Aleksander, wielki książę Luksemburski.

△ Nowy przyrząd telegraficzny, ułatwiający znacznie wysyłanie depesz, wynalazł p. Jakób Vogelfanger, z Glinian.

„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Jadwigę K.

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znanego bohatera francuskiego.

Sylaby: an, af, ar, brah, bi, da, da, da, den, dy, don, dy, dys, dy, dy, di, di, eu, e, go, hym, ja, ka, kon, lim, lo, lja, li, me, nia, mo, me, ni, ma, mi, mi, ne, na, ni, ni, ne, o, o, u, o, po, pia, pus, po, rei, ro, ru, ry, se, sej, ta, te, te, ty, wa, zis, me, i, me, i.

Znaczenie wyrazów:

1. Grecka bogini karząca.
2. Żona bohatera greckiego.
3. Bogini wymowy i śpiewu.
4. Igrzyska greckie.
5. Król Troi.
6. Boginie zemsty.
7. Syn króla Teb.
8. Stolica Assyrji.
9. Bóg indyjski.
10. Poemat grecki.
11. Córki boga Nereusa.
12. Starożytna bogini miłości.
13. Władca wód.
14. Bóstwo księżyca.
15. Mała rzeczka, sławna przejściem Cezara.
16. Bogini sprawiedliwości.
17. Małżonka sławnego śpiewaka greckiego.

Łamigłówka sylabowa.

ułożona przez Bystrego Sokoła.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 14 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitego hictoryka polskiego.

Sylaby: a, chi, le, za, ni, el, part, moch, il, hen, ma, ło, ta, jasz, mień, ryk, on, na, ni, gieł, si, ran, lam, li, e, ny, ki, to, u, twi, es, wiec, rio, cki, pa, ja, wy, wa, ro, mo.

Znaczenie wyrazów.

1. Nazwisko króla polskiego.
2. Jezioro w Ameryce.
3. Kolor.
4. Kraj w Azji.
5. Imię męzkie.
6. Jezioro w Europie.
7. Nazwisko historyka polskiego.
8. Dzikie zwierzę.
9. Prorok.
10. Naród w Europie.
11. Część świata.
12. Naczynie stołowe.
13. Naród w Europie.
14. Zwierzę podobne do małpy.

Od Redakcji.

Zawiadamiamy naszych czytelników, iż z powodów od Redakcji niezależnych, dodatek książkowy za m. Luty ukaże się jednocześnje z dodatkiem za m. Marzec, jako 2-gi i 3-ci tom powieści E. Jezierskiego pod tyt. „Potomek hetmański”.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Ciekawy nie wymienił tytułu pisma, którego rocznik chce nabyć, więc też i ceny podać nie możemy. Za każdą zmianę adresu płaci się 20 kop. Prace, drukowane w dziale «O własnych siłach» pomieszczane są bezinteresownie.

Henryka L. z Tamki łamigłówka będzie umieszczoną.

Kazimierza Zemlich łamigłówkę sylabową umieszczę.

Stasiowi G. z ul. Żelaznej. Zadanie jest wprawdzie ułożone na nazwisko używane na ten cel wielokrotnie; lecz że zawiera wyrazy niezbyt pospolite, a zatem trudniejsze, będzie drukowaną.

Wielkiego Orła szarada jest błędnie ułożoną: zagadkę umieszczę.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 5.

1. Maj
2. Podole
3. Marmur
4. Psyche
5. Larum
6. Lewi
7. Paw
8. Jeremi
9. Ryś
10. Don
11. Missisipi
12. Kościuszko
13. Nów
14. Małecki
15. Kielce
16. Ołomuniec
17. Mak
18. Antoni

Jeremi Wiśniowiecki.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 5.

1. Junona
2. Apollo
3. Neptun
4. Marzanna
5. Anubis
6. Terpsychora
7. Eskulap
8. Jowisz
9. Kupido
10. O

Jan Matejko.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 6.

1. Termometr
2. Aar
3. Działo
4. Ewangelja
5. Ursus
6. Saturn
7. Zeus
8. Kakadu
9. Or - Ot
10. Ś
11. Cejlon
12. Iljada
13. Unja
14. Samarja
15. Zeppelin
16. Kongo
17. Ogniwo

Tadeusz Kościuszko

Rozwiązanie zadania liczbowego z Nr. 6.

1. *A*
2. O*la*
3. Sroka
4. L*is*
5. Ma*zur*
6. B*y*k
7. *Z*
8. Sól
9. Żo*l*na
10. O*ku*
11. Grosz
12. I*wa*
13. S*os*na
14. S*ki*
15. *i*

Aloizy Żółkowski

Nowoprzybywający prenumeratorzy otrzymać mogą dawniejsze roczniki ***za pół ceny***.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**

DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.